

Dziwny nieznajomy

Maciej Raszewski

Kawa... papieros... spodnie, koszula, buty... i w drogę. Do pierwszego urzędu miałem dość blisko, jakieś 20 minut spacerem. Szedłem wzdłuż ulicy bardzo powoli, noga za nogą, rozmyślając o niczym ważnym i obserwując

Doszedłem do przejścia dla pieszych. Urząd był po drugiej stronie ulicy. Wyraźnie widziałem duży napis „Zakład Ubezpieczeń Społecznych”. To był cel mojej wycieczki. Przed drzwiami zatrzymałem się na chwilę i spraw-

POZA TYM BARDZO ZGŁODNIAŁEM...



rys. I. Myszkiewicz

jąc życie miasta. Był lipcowy poranek. Zapach lip rosnących wzdłuż ulicy przeplatał się z fetorem spalin aut, które właśnie utknęły w jakimś absurdalnie długim korku.

dziłem, czy w kieszeni spodni jest karteczka, na której zapisałem w punktach, co mam załatwić. Na szczęście była.

Za drzwiami uderzyło mnie chłodne powie-

trze. Rozejrzałem się dookoła. Prawie pusto. Pod ścianami rzędy krzeseł, tablice informacyjne i stojaki na ulotki. Zauważyłem młode małżeństwo z dzieckiem, które rysowało coś zapamiętałe przy niskim plastikowym stoliku. Obok nerwowo spacerował tam i z powrotem elegancki facet w średnim wieku. Miał ładny garnitur, modny krawat i plik papierów, które nerwowo ścisnął za plecami. Sprawiał wrażenie zniecierpliwionego biznesmena, który musiał tu być tylko dlatego, że jego księgowa niespodziewanie się rozchorowała. Podszedłem do biletomatu i wziąłem numerki. Usiadłem w drugim końcu poczekalni, jak najdalej od ludzi. Nie miałem ochoty na towarzystwo. I wtedy do pomieszczenia wszedł on. Na oko sześćdziesiąt parę lat, zgarbiony i zupełnie siwy. W rękę trzymał foliową reklamówkę, z której wystawały pogięte rogi kartek papieru. Sprawiał wrażenie, jakby to nie była jego pierwsza wizyta tutaj. Pewnie podszedł do biletomatu, jednocześnie rozglądając się po sali. Na ułamek sekundy zatrzymał wzrok na mnie. Odwrócił się w moją stronę i powoli ruszył.

– Czy wolne? – spytał, wskazując na krzesło obok mnie.

– Tak, proszę – odparłem niechętnie.

Zapanowało milczenie. Zupełnie nie miałem ochoty na tę znajomość i pogawędkę. Pewnie za chwilę usłyszę wszystko o jego chorobach i osiągnięciach jego dzieci. Jestem introwertykiem, więc takie sytuacje mnie męczą.

– Po emeryturę? – Mężczyzna nie dawał za wygraną.

– Nie. Coś innego – odparłem szybko.

Miałem nadzieję, że jeśli będę odpowiadał zdawkowo i unikał kontaktu wzrokowego, to mój sąsiad zrozumie, że nie mam ochoty na pogawędkę, lub znudzi się i poszuka sobie innej ofiary.

– No tak. Pan młody przecież. Nie to co ja. Co pan będzie załatwiał? – Nieznajomy nie zamierzał łatwo się poddać.

– Zaświadczenie mi potrzebne. Taki druczek do banku.

– Ja po emeryturę. Trzeci raz już przychodzę. Wniosek składałem miesiąc temu, a pieniędzy ciągle nie ma. A wiesz pan dlaczego?

– Hmmm – mruknąłem pod nosem, nieudolnie udając zainteresowanie.

– Mówią, że jakieś błędy w dokumentach są.

W akcie urodzenia konkretnie. Ale tam błędu

nie ma. Ja to wiem. Ale, wiesz pan, oni mi nie wierzą. – Zwrócił wzrok w moją stronę, żeby się upewnić, że słucham. – Powiedzieli, że sprawdzą. Sprawdzili już dwa razy, ale dalej nie wierzą. – Włożył rękę do foliowej reklamówki i wydobyl z niej pożółkłą kartkę. – Sam pan zobacz, gdzie tu błędy są, no gdzie? – Zamachał przede mną rozłożoną kartką.

Kartka z pewnością była bardzo stara i w całości zapisana niebieskim atramentem. Piękna kaligrafia. U góry nieco rozmazana pieczęć odcisnięta czerwonym tuszem. Pod tekstem ktoś przybił okrągłą dużą pieczęć z dwugłowym orłem. Nie potrafiłem nic odczytać, bo kartka była zapisana cyrylicą. Chyba po rosyjsku.

– Nie wiem, co to jest – odpowiedziałem, siłując się na uprzejmość. – Nie znam się na tym. – To mój akt urodzenia. Po rosyjsku, bo tu kiedyś była carska Rosja. Ale wszystko napisane czarno na białym. Nawet u tłumacza przysięgłego byłem. Pieniądze zapłaciłem i po polsku im przyniosłem. A tu wszystko napisane: urodzony w 1782 roku, tu, w tym mieście.

– Pan? – zapytałem cichym głosem.

– Tak, ja. Tu moje imię i nazwisko stoi. Niech pan patrzy. – Dotknął palcem kartki, wskazując jedno zdanie.

Na moment zamarłem. Nieznajomy ewidentnie stroił sobie ze mnie żarty albo miał kłopoty z głową. Obawiałem się tej drugiej opcji, więc postanowiłem powoli kończyć naszą pogawędkę.

– Niech pan nie żartuje. Ludzie nie żyją tyle lat. To nie jest pana dokument. Mam rację?

– Nie. To mój dokument. Mam też inne. Za cara urzędnicy wszystko zapisywali. Ja wszystko mam. Chce pan zobaczyć? – Sięgnął do reklamówki i zaczął przerzucać papiery.

– Jeszcze raz powtórzę. Nie mógł pan urodzić się w osiemnastym wieku. Ludzie tyle nie żyją. – To prawda. Ludzie nie. Ale wampiry tak. – Popatrzył mi prosto w oczy.

Wtedy dostrzegłem w nich coś dziwnego. Jakąś pustkę pomieszaną ze smutkiem. To były oczy bardzo starego człowieka. Człowieka starszego niż te sześćdziesiąt lat, na któ-

Wampiry dyskryminowane przez system emerytalny

Do naszej redakcji zgłosiła się wampirzyca, pani Eugenia (l. 60), która poinformowała, że ma blisko 35 lat stażu, a mimo to ZUS wyliczył jej emeryturę równą zeru. W imieniu czytelniczki poprosiliśmy rzecznika ZUS o wyjaśnienie.

„Wysokość emerytury to wartość ułamka. W jego liczniku znajdują się opłacone składki” – wyjaśnia rzecznik. – „W mianowniku jest tak zwane średnie dalsze trwanie życia, które w przypadku ludzi zależy od wieku przejścia na emeryturę i wynosi zazwyczaj około dwieście miesięcy. Natomiast dla wampirów jest wartością nieskończoną, bo one żyją wiecznie”.

Według rzecznika ZUS obliczył wszystko prawidłowo i zgodnie z obowiązującymi przepisami. O komentarz poprosiliśmy prof. Arnolda Tutkę (l. 62) z Wydziału Matematyki Uniwersytetu Zachodniego.

„Znajduje tutaj zastosowanie tak zwany rachunek granic. W przypadku ułamka zwykłego, którego mianownik dąży do nieskończoności, wartość całego ułamka dąży do zera” – komentuje profesor. „Obliczenia wykonane przez ZUS są więc z matematycznego punktu widzenia jak najbardziej prawidłowe”.

Pani Eugenia zapowiedziała, że pomimo to na pewno odwoła się od decyzji ZUS-u do sądu.

re wyglądał. Były lekko zamglone i niewiarygodnie zimne. Nie potrafiłem odgadnąć, jaki był ich kolor. Na plecach poczułem ciarki. Powoli zaczął narastać we mnie irracjonalny strach. Przecież to niemożliwe. A może jednak to prawda? Nagle zapragnąłem uciec stąd jak najdalej.

– Pan wybaczy, ale zapomniałem czegoś z domu. – Zerwałem się z krzesła.

– Już pan idzie? Szkoda. Miło się rozmawiało. To ja może pana odprowadzę? W którą stronę pan idzie?

– To niedaleko... – odparłem i rzuciłem się biegiem do wyjścia.

Wypadłem z budynku i zacząłem biec przed siebie, najszybciej jak potrafiłem. Przez ulicę, trawnik, byle jak najdalej od tej istoty. W życiu tak się nie bałem. Co chwilę odwracałem się, żeby sprawdzić, czy za mną nie idzie. Był sporo starszy. Logika podpowiadała mi, że nie mógł mnie dogonić. Nawet nie wiem, czy wyszedł za mną z budynku. Ale to nieważne, by-

le dalej od niego. Byle szybko dobiec w bezpieczne miejsce. Do domu.

Zatrzymałem się przy drzwiach wejściowych do mojego mieszkania. Czwarte piętro. To był szaleńczy bieg. Serce waliło mi tak mocno, że trzęsły mi się ręce. Nadal byłem przerażony. Sięgnąłem do kieszeni po klucz do mieszkania i wtedy usłyszałem jego głos.

– Tutaj pan mieszka? To bardzo dobra lokalizacja. Czy czynsz jest wysoki?

Zamarłem ze strachu. Postać wychyliła się z półpiętra. Powoli wchodził po schodach. To niemożliwe, że pobiegł za mną. To niemożliwe! To starszy facet. Starsi ludzie nie biegają tak szybko. Oni wcale nie biegają.

– Przepraszam, że się panu narzucam – powiedział powoli – ale miło mi się z panem rozmawiało. Chyba pana polubiłem. Poza tym bardzo zgłodniałem... – Popatrzył mi głęboko w oczy i ruszył powoli w moją stronę, uśmiechając się...

7 września 1939, czwartek

Wyjechaliśmy o świcie szosą na Lublin. Kierownikiem transportu został dyrektor Instytutu Spraw Społecznych, Kazimierz Kornilowicz. Jedziemy niemal bez ustanku, ale powoli. Szosą ciągną niezliczone wozy, furmanki, samochody i wielkie tłumy ludzi. Wszyscy z tobołkami, wózkami dziecięcymi. Płacz dzieci i lamenty kobiet towarzyszą tej niezwyklej procesji. Aż serce się kraje.

8 września 1939, piątek

Dziś był jeden z najtragiczniejszych dni w moim życiu. Codziennie słuchaliśmy komunikatów radiowych. Niemcy posuwali się coraz dalej i tylko Westerplatte wciąż się broni. Niestety, wczoraj wieczorem radio podało, że Westerplatte już nie walczy, że skapitulowało... Dotarliśmy już w okolice Lublina i nagle zaczął się nalot. Niemieckie samoloty z głośnym warkotem przelatowały tuż nad naszymi głowami. Zrzucały bomby i strzelały do nas. To było straszne! Wszyscy zaczęli uciekać z szosy, ale wielu nie zdążyło. Cóż to był za straszny widok! Matki z dziećmi, starsi ludzie i wszyscy, którzy nie zdążyli umknąć... Nie mogę o tym pisać. Podczas tego nalotu zginął też pan dyrektor Kornilowicz. Przykryliśmy go płaszczem i położyli na samochodzie. Dojechaliśmy do Lublina i tam urządziliśmy szybki pogrzeb. Nie było czasu na ceremonię, bo musieliśmy jechać dalej.

